



Do naszych przyjaciół

Już pożegnaliśmy słoneczne lato. Przeminał czas swawolnych hasów, przyszedł czas poważnych zajęć. Liście pożółkły na drzewach. Niebo zasnuwa się ciemnymi dżdżystemi chmurami. Cała przyroda nabiera martwej powagi, a do niedawna jeszcze rozkoszne lasy i gaje nie dźwięczą pieśnią słowika. Pola już puste. I tylko samotne badyłe smagane wiatrem i deszczem stoją wytrwale wśród rżysk, odwiedzanych rzadko przez ludzi.

Po niebie płyną trójkątem żórawie, dzikie kaczki i gęsie odlatują w cieplejsze kraje, żegnając nas rzewnie na długie zimowe miesiące, a w zagrodach coraz częściej pojawiają się wrony, które opuszczają lasy i przenoszą się bliżej do ludzi.

Zmienia się cała przyroda, a z nią i Wy kochani, musicie się zmienić, musicie zapomnieć o wycieczkach, plażach i spacerach. W poniedziałek rozpoczyna się nowy rok szkolny. Czeka Was wytężona i pożyteczna praca, czekają Was życzliwe serca nauczycieli, którzy chcą Wam

udostępnić i otworzyć przed Wami mądrości nauki, z których w przyszłości, jak wyrośnięcie, będziecie czerpali siły do samodzielnego życia. Dlatego też starajcie się jaknajstaranniej wypełniać wszystkie obowiązki, jakie Was czekają w szkole. Uczcie się pilnie, bądźcie posłusznymi, bo pamiętajcie, że my Krasnale lubimy tylko pracowite, posłuszne i grzeczne dzieci. A po pracy w szkole również nie zapominajcie i o nas. Piszcie do nas liściki piszcie o wszystkich, chociażby nawet najdrobniejszych Waszych sprawach, bo nas zainteresuje wszystko, a my każdej soboty będziemy przysyłać Wam „Krasnoludki”, gdzie Wy znajdziecie dużo ciekawych i zajmujących opowiadań, zdarzeń i rozrywek umysłowych.

Pracować musicie z tem większą wytrwałością, że przecież mieliście długie i beztrudne wakacje. Wypoczęliście dobrze i przyjemnie spędziliście czas, a teraz postarajcie się wydajnie pracować, by z nadejściem wiosny i przyszłego lata móc znowu spokojnie odpoczywać i zażywać rozkoszy swobody.

Krasnale

Witajcie!

Przyszły dzieci na boisko. Opalone. Wyrośnięte. Huczy jak w ulu. Pierwsza zakrzykiwała furtka:

— Witajcie! Nudno było bez was.

Zaraz zza plotu szkolnego ogródka wysunęły głowy żółte słoneczniki:

— Witajcie! Patrzcie jak i my wyrosłyśmy przez lato. A jak nas słońce opaliło!

Aż tu idzie pan listonosz i zdaleka woła grubym głosem:

— Jak się macie, dzieci! A patrzcie, co wam przyniosłem!

Z torby wyskakują „Krasnoludki”. W pięknej nowej sukience. Bardzo kolorowej i wesołej. I szeleszczą kartkami:

— Witajcie! Zawsze będziemy z wami! Patrzcie i my wyrosliśmy przez wakacje. Już same chodzimy do szkoły. I trafiamy bez starszych braciszków. Podobamy się wam?

Jak zaczęły dzieci oglądać przybysza na wszystkie strony. Te malutkie, to patrzyły tylko na obrazki i wołały co chwila do starych :

— A co to? A co to?



Sam do szkoły

Mama dała
bulkę z serem:
„A uważaj
tam za skwerem!
Gdy coś trąbi,
gdy coś dzwoni,
nie przebiegaj,
niech Bóg broni!”
Idę, idę
z tęgą miną:
w prawo tramwaj,
ledwiec minął.
Z tęgą miną,
a mam strach,
pan policjant
ręką macha.

Do fabryki
poszedł tato,
tam pracował
całe lato,
żebym zdrowy
i wesoły
poszedł dzisiaj
sam do szkoły.
Samochody
jadą pędem,
a ja w szkole
nas czas będę.
Tramwaj biegnie
bez litości
i czerwony
jest ze złości.

Teczka Zosi

Krzyk i hałas
słychać z teczki:
zróbże, Zosiu,
porządeczki.
Placzą kredki
i ołówki:
połamały
im się główki.

Placze książka
z wielkim kleksem,
wstyd nieść w teczce
taką bekse.
Guma-myszka
myśli sobie:
„Ma być czysto?
ja to zrobię”.



Skończyły się harce swawolne — trzeba się brać do nauki

Teczka Jasia

Jaś idzie z teczką do szkoły. Aż tu naraż w środku niej powstaje hałas wielki:

— O jej, moje boki! A czego mnie masłem smarujesz? Co tu robią wronie pióra? Gwałtu! mój nosek! Po co tu szkielka? — Otwiera Jasio teczkę, a tam woła kromka chleba z masłem:

— Proszę o białą, papierową sukienkę! Niechże nie parzekają na mnie sąsiedzi. — A książka i zeszyty:

— Tak. Tak. A nam się należą okładki! — A ołówek i stałówki:

— Chcemy mieszkać w piórniku! Mammy ostre noski. Kaleczymy sąsiadów!

A wszyscy razem zgodnym chórem:

— Wyrzucić szkielka i wronic pióra!!!

A teraz posłuchajcie, czy nikt nie narzeka w waszych teczkach?

Po wakacjach

Po wakacjach w naszej szkole spotkali się Jaś i Bolek.

Chcą się bawić cały dzionek, ale koniec paury, dzwonek.

Kiedy lekcja — słuchać miło,

kiedy paury — rób co chcesz!

Na wakacjach dobrze było, ale w szkole dobrze też.

w którym okazuje się, że to jest prawdziwa przygoda.

Kiedy Wygwizdów obudził się następnego dnia, w kajucie było już zupełnie widno. Rozległy się zaraz głosy:

— Wacek, śpisz?

— Nie, a ty?

— Ja śpię, tylko tak przez sen się wytam.

— Nie pleć. Która godzina?

— Dwunasta.

— Nie może być. Chyba stanął ci zegarek.

— Nie. Idzie.

— Tośmy ładnie się zdrzemnęli! Od ósmej do dwunastej.

Julek i Mietek, którzy spali na górnych łózkach, zeskoczyli nadół i wszyscy przywitani się, jakby po długim niewiedzeniu.

— No, co? Wygwizdów w komplecie? — zagadnął Julek wesoło, ale Mietek powiedział:

— Słuchajcie, chłopaki, to cud prawdziwy, że jeszcze żyjemy. Było dziewięćdziesiąt dziesięć szans na sto, że raki będą nas miały na widelcu.

— A cóżś mówił cały czas? — zdziwił się Wacek.

— Tak! Miałem może przekonywać was, że się potopimy? Mądryś! Zresztą nie o to chodzi. Musimy teraz złożyć wojenną naradę: co robić?

— Hm, co robić? To właśnie sęk — mruzczał Wacek.

— Nie taki znów sęk, jak go malują! powiedział Julek. — Według mnie: trzeba się naprzód dowiedzieć gdzie jedziemy, jeśli do Gdańska...

— Jeśli do Gdańska, to już stalibyśmy w porcie — rzucił Mietek.

— A no, prawda.

Więc dowiedzieć się gdzie jedziemy, wysiąść w pierwszym porcie i wrócić do Gdańska. Potem zebrać pieniędzy i odkupić staremu Koczmarze łódkę.

— Ale chyba przedtem zatelegrafować do rodziców i komendanta, żeby się nie niepokoił? — dorzucił Breloczek.

— Brawo Breloczek! — powiedział Julek.

— Więc teraz pójde do kapitana... — zaczął Mietek i naraz zatrzymał się.

— Co takiego?

— No, przecież... przecież ja się z nim dogadam!

— Pójdziemy we dwóch! — zerwał się Julek. — Ja raz przeglądałem angielską książkę „Skauting for boy“ i zdaje mi się, że pamiętam kilka słów.

Znaleźli więc naprzód sternika Dzem-



sa i Julek zaczął na nim próbować swojej angielszczyzny:

— Spytam go się, gdzie się można, umyć — powiedział do Mietka i salutując sternikowi, zaczął:

— Ser, Dżems!... Do sicha, co tu dalej? „Ja“ to dzaje się po angielsku jest „aj“. Ale jak „mycie“? Ser Dżems! Aj end camerad...

Tu zniecierpliwiony Julek pokazał rękami ruch mycia i skrzywiony Dżems zaprowadził ich do umywalni. Potem przegryźli po sucharze i ruszyli na poszukiwanie kapitana.

Znaleźli go na mostku kapitańskim, gdzie wydawał się jeszcze dłuższy i chudszy.

— Gud baj! — powiedział Julek.

— Gud morning! — odpowiedział kapitan.

Echa IX międzynarodowych zawodów konnych, które odbywają się obecnie w Rydze



Członek ekipy l

Jednak rozmowa szła jak z kamienia i gdyby nie nadrabianie gestami i pokazywania na migi — niewieleby się dowiedzieli.

Wacek i Breloczek czekali niecierpliwie na powrót swoich posłów i przyjęli ich gradem zapytań:

— No, co? Jak? Dokąd jedziemy?

Mietek siadł na taburecie przymocowanym do ściany i chrząknął:

— Posiedzenie rozpoczęte! — powiedział Julek.

Mietek przedstawiał sprawę. Otóż okazało się, że okręt idzie do Indji i za dwa miesiące będzie spwrotem. Akurat na początek roku szkolnego. Kapitan obiecuje darmo przewieźć ich tam i spwrotem. Zresztą niema wyboru, bo okręt nigdzie się nie zatrzymuje.

— No, dobrze! — bąkał Wacek. — Ale tyle czasu gdzieś tam jeździć...

— Bez łaski! — zawołał Julek. — Możesz wracać, jeżeli chcesz, ale chyba piechotą przez morze. Jak nie chcecie, to pojedziemy we dwóch, ja i Mruczysław. Zresztą niema innego wyjścia.

— Chyba nie w dwóch, tylko we trzech? — wysunął się Staś. — Bo ja bym też chciał razem z wami...

— Brawo, Breloczek! Zuch Breloczek!



Julek patrzył spod oka na kapitana i mruzczał:

— Niby kapitan jesteś, a nie umiesz się po ludzku rozmówić. Myślisz, że to się komu może spodobać, jak tak belkoczesz, niezem indor. Niewielka sztuka: na drugi raz wezmę gorących kartofli w usta i też będę belkotać po angielsku.

Mietek szepnął:

— No, mów-że!

— Taaak! Ciekawym jak? — odszepnął Julek.

— Przecież mówiłeś, że umiesz...

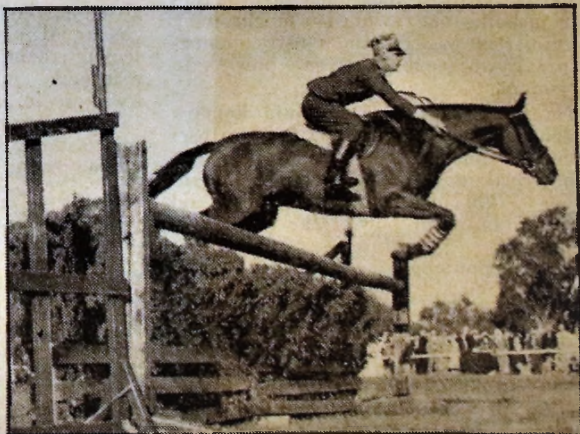
Kapitan spoglądał kolejno to na jednego, to na drugiego, wreszcie powiedział po francusku:

— Czy znacie francuski język?

Okazało się, że obaj znają co nieco. Zakiwali więc usilnie głowami:



otewskiej wirsleitnant Insberg na koniu Kangar



Polski jeździec porucznik Czerniawski w klasycznym skoku zdobywa przeszkodę

Przygody wrześniowe

Po łące już bez drogi szli, po gładkiej, zroszonej. Pocięta była rowami, przy których rosła olcha i łoża.

— Wybierz sobie, Miś, który krzak przy tej kanawie — ot, najlepiej w niższym miejscu, przy błotku; — ja pójdę sto kroków dalej. Tędy ich dukt z Dusiaczkiego jeziora na Roszce, albo i odwrotnie. Słońce chowa się — sama pora.

Zaledwie sam pozostał, zauważył Michał zmianę w programie koncertu, którego numer, ostatni dzienny, grał się w powietrzu, ale tak lekko, że ucho, przywykłe do rozlanego nawet w ciszy dźwięku, chwyciło sens jego dopiero wtedy, gdy uciło. Jak na skinienie batuty umilkły naraz przed zachodnie świergotania maleńkich śpiewaków w łożynie: trznadli, sikorek, pliszek. Przetrwał tylko najwyższy skrzypcowy brzęk komarów. Ale zaraz obudziły się głosy basowe, objęte strachami nocy — dalekie bąki zagadaly — i ostrzegawcze, jak kołatki stróżów nocnych, zdwojone pokrzyki derkaczów. Rozpoczął się nokturn.

Strop niebieski wydawał się jeszcze tak jasnym i przejrzystym, że głębszym, niż za dnia. A jednak zbladł i mroczył się coraz bardziej, bo opóźniona w błękitie jaskółka okazywała się muchą przy baczniejszym wpatrzeniu, a ostra chmurka przybywającego księżycy powlekała się złotem.

Na tle ciszy takiej, że nuta komara spędzonego z twarzy nabierała wartości prymu, w pustce nieba bezmiernej, towiło jednak ucho jakieś rytmiczne szumy — Od jezior dalekich, czy od mieszkań ludzkich powietrzne telegrafy bez drutu? — Nie — szum roślinie w tętent podniebny zbliża się — to już baczki nad głową Michała.

— Ale gdzie w błękitie?! — chyba o sto sążni? — A ile ich! — kilkadziesiąt w kluczu, a tam klucz drugi trzeci — szu — szu — szu — szu — szu.

Niew dziw, że łoskot słychać zdaleka, skoro taka ich ćma. — Ale jeżeli rym szlakiem ciągnąć będą dzisiaj, to żadnej nie dostaniemy.

Po rozczarowaniu inna nadciągała dolegliwość: komary cięły bezżonnie, chociaż Michał wadził głowę w krzak

i przeciw regulom myśliwskim palił papierosa. Legjony ich przybywały od tego błotka, przy którym stanął, za poradą Stanisława. Opędał się niecierpliwie, trząskając się to po rękach, to po karku.

Wtem ujrzał Stanisława, zbliżającego się w lekkich susach. Co takiego? — Dopadł i podał mu fłaszczkę.

— Masz tu olejek gwoździkowy; posmaruj sobie ręce, szyję i twarz; pilnuj tylko, żeby do oczu nie zalazł. Komar ciebie ani powącha.

— Dziękuję ci, mój Stachu — ale ty? —

— Ja już cały wysmarowany, aż lepiej. — Deszcz jutro będzie, kiedy tna tak zajadłe. — I pilnuj teraz! —

Do oddalającego się mówił Michał: — Ależ my stoimy na stanowiskach niezbyt spokojnie.

— Nie bój się! tutaj im droga przepisana — nie chociaż one — I pyszny ciąg będzie, widać to po pierwszych stadach.

— Tylko djabło wysoko ciągnął!

— Bo jeszcze jasno. Pójdą niżej — obaczysz —

Jeszcze Stanisław nie doszedł do swego stanowiska, gdy nowy ogromny kluczbłaszczki zasumiał nad głową Michała. Musiał lecieć trochę niżej, niż poprzednie, bo z lotnego pułku doleciało kilkakrotnie kwaknięcie, zapewne dowódcy, ostrzegającego o zasadzce. Stanisław wymownymi gestami dawał znać z oddalenia, że można było już strzelić.

I natychmiast dał przykład.

Przeziągało nad Pucewiczem stado mniej gęste i złożone ze sztuk, które wydały się Rajeckiemu najmniejszym gatunkiem cyranek. Stach dał ognia z obu łuf. — Po drugim strzale od rozpedzonego stada odłączyła się jedna sztuka ze złożonymi skrzydłami, zniżała się ogromnym łukiem ku łące, rosnąc w oczach, aż brzdękła głośno o trawę duża krzyżówka. Fox skoczył natychmiast i zaaportował.

— Ot widzisz! — krzyknął Stach — można —

Michał powitał kapeluszem, wieszając pięknego strzała, cicho zaś strofował się:

Możem z tamtego stada choć jedną ściągnąć. Trzeba tylko ufać strzelbie i odważyć się nawet dwa sążnie przed dziób mierzyć. — A zawsze w jedną sztukę i dokładnie — nigdy w kupę!

Nadciągały właśnie kaczki nad błoto. Pelen świeżych postanowień Michał wymierzył do pierwszej sztuki i strzelił. Rozległo się w powietrzu żałośnie kwakanie i kaczka, z przetrąconem skrzydłem, jęła spadać dziwaczynym zygankiem, ciągle kwacząc, aż klapnęła w mokradło. Tyle miał Michał emocji z tego widowiska, że nie strzelił już z lewej lufy. Hetka zaś, czy zrażona hulaśliwym zachowaniem się spadającej kaczki, czy że nie raczyła nóg zamoczyć, stała na miejscu, pomimo rozkazu, aby sportowała. Trzeba było wezwać pomocy żarliwego Foxa.

Ciemniało. Kacski płynęły teraz trochę niżej przez blade-błękitną porcelanę nieba, czasem przekrośwały długim szeregiem złoty sierp księżyca, jakby wzorem japońskich wazonów.

Strzelanina trwała wciątekle. Kaczki, niezbyt przebiegłe wogóle, głupiejają jeszcze na ciągu. Po kilkudziesięciu strzałach w jednym miejscu nieustannie waliły nowe pulki na tę dolinę śmieci, mając jedyną obronę w nadzwyczajnej szybkości. Myśliwi nie żałowali prochu; i chociaż najlepszy strzelec zużyje przeciętnie trzy ładunki na jedną kaczkę przy tych warunkach oddalenia, rozpędu i zaniku światła, zdarzały się piękne myśliwskie efekty. Stanisław dał kilka dubletów, z których jeden wspaniały do wysokiego stada: spadły dwie sztuki zabite tak piorunowo jedna po drugiej, że trup gonił trupa po wielkim łuku spadania. Michał znów zabił aż pięć sztuk z jednego stada, które po pierwszym dublecie zawróciło, dając mu czas do ponownego nabicia strzelby i do zważenia jeszcze trzech sztuk dwoma strzałami.

Ale teraz ciemniało już na dobre i ciąg zdawał się wyczerpanym. Przez kilka minut nie nadleciała ani jedna kaczka. Michał już chciał ruszyć z miejsca w kierunku do Stanisława, gdy mu ten dał znak, aby pozostał przy błotku. I słusznie — gdyż nadciągały niebawem marudery wojsk powietrznych, nisko i powolniej, niż poprzednie pulki, zapadając pojedynczo na błotko pod samymi nogami Michała. Jedyną przeszkodę sta-

nowiła rosnąca ciemność. — Tyle było do roboty teraz przy błotku, że Stach podążył na pomoc Michałowi.

Strzelanina przeszła w rodzaj opędzania się od nadlatujących kaczek. Czasem cień tylko zawisnął w powietrzu — pralo się do tego cienia poomacku, z przyrzutu, a kiedy skutecznie, ciężka sztuka spadała w wodę między trawą, bryzgając głośno. To znowu myśliwi czuli aż na twarzy wiatr bliskich skrzydeł przelatujących w niespodziewanym kierunku.



Dziewczyna arabska

Kręci się w gwarnym porcie
w południe, wieczór zrana,
jękliwie wykrzykuje,
przez wszystkich potrącana...
Zachwała towar w koszu —
melon, czy słodycze,
szybko i chytrze piastry
w zbrukaney dłoni liczy.
Plecy jej znają ciężar
i nogi utrudzenie.
Za mięte wody portu
posyła wdał spojrzemien...
Przechodząc mimo ludzkich
walk, klótni i pośpiechu,
zębami połyskuje
i wdzięczy się w uśmiechu.

Alina Kwiecińska



... przy kartociach ...

Adres „Krasnoludków”: Redakcja „Nasze życie”, Riga — Dzirnau 57. „Krasnoludki”
Drukarnia „RITI”, Riga, Dzirnau ielā Nr. 57.